

Dariusz Karłowicz: Churchill nasz współczesny

Kiedy filmowy Churchill powiada, że Anglicy nigdy nie zgodzą się, żeby nad Londynem powiewały obce flagi, to nie chodzi przecież o błękitną flagę Unii Europejskiej. Nie chodzi! A zarazem jednak chodzi! – pisał Dariusz Karłowicz w felietonie na łamach tygodnika „Sieci”.

Przypominamy tekst w ramach „Teologii Politycznej co Tydzień”:
„Churchill. Cygaro, Mojry i dramat historii”.

Niedługo po premierze „Czasu mroku” (*Darkest Hour*) Joe’a Wrighta brytyjskie media obiegała wiadomość, że w trakcie projekcji filmu publiczność urządza owacje na stojąco. Brawa w kinie to rzecz niezwykła i przyznać trzeba dziwaczna, więc w pierwszym odruchu łatwo zgodzić się z komentatorem *Guardiana*, pokpiwającym z celowości oklaskiwania aktorów, którzy nas nie słyszą. Niemądra afektacja? No, chyba, że owacje nie są wyrazem podziwu dla aktorskich szarż Gary Oldmana, ale manifestacją opinii, których lewicowy *The Guardian* nie chce i nie potrafi zrozumieć. Dlaczego? Ano dlatego, że dotyczą spraw o których mieliśmy zapomnieć – tożsamości, suwerenności oraz ceny, którą warto za nie zapłacić.

W stosunkowo krótkim czasie w kinach mamy już drugi film o początkach II Wojny Światowej oglądanych z perspektywy Wielkiej Brytanii. Po monumentalnej „Dunkierce” Christophera Nolana

kameralna opowieść o pierwszym, niezwykle dramatycznym miesiącu Winstona Churchilla w roli gospodarza rezydencji przy Downing Street 10.

Film Wrighta zaczyna się w maju 1940 roku kiedy upada gabinet Neville'a Chamberlaina, a kończy w początku czerwca tuż po ewakuacji 300 tysięcy żołnierzy z plaży pod Dunkierką. Związek obu filmów jest oczywisty. To ta sama najciemniejsza godzina – moment wielkiej porażki i upokorzenia, fiasko całej dotychczasowej polityki, chwila najtrudniejszych, najbardziej ryzykownych wyborów. Choć wojna jest niewątpliwie ulubionym tematem kina, wydaje się, że w tym wypadku zarówno twórcom jak i publiczności idzie o coś więcej niż zwykle.

*Referendum w sprawie Brexitu
nie zamknęło dyskusji o
politycznej przyszłości
Wielkiej Brytanii. Jej rdzeń
niewątpliwie dotyczy kwestii
tożsamości*

Brawa zrywają się po
scenie sławnego
przemówienia
Churchilla
wygłoszonego w
Izbie Gmin 4 czerwca
1940 roku, a więc w
dzień po
zakończeniu

rozpaczliwej ewakuacji spod Dunkierki. Kto w tej reakcji nie widzi niczego poza uznaniem dla wybitnego aktorstwa, ten rozumie doprawdy niewiele. Wystąpienie, które kinowa publiczność przyjmuje dziś z takim entuzjazmem stanowi wszak jedną z najsławniejszych deklaracji brytyjskiego patriotyzmu. To właśnie wtedy Churchill powiedział: „Będziemy walczyć na plażach, na polach, na ulicach,

będziemy walczyć na wzgórzach; nigdy się nie poddamy...”. Oldman zagrał świetnie, ale brawa zebrał Churchill – a dokładniej to, co reprezentuje.

Jak wiemy, referendum w sprawie Brexitu nie zamknęło dyskusji o politycznej przyszłości Wielkiej Brytanii. Jej rdzeń niewątpliwie dotyczy kwestii tożsamości. Świadomie czy nie, kultura towarzyszy takim rozterkom pytając: „kim jesteśmy?”, „kim chcielibyśmy być?” W momentach podobnych kryzysów odruchowo spoglądamy wstecz. To jasne. Trudno odpowiedzieć dokąd zmierzamy jeśli najpierw nie ustalimy skąd przyszliśmy – kim jesteśmy. Tylko po co koncentrować się na klęskach? Dunkierka? Dlaczego nie chwile chwały? Cierpiętnictwo miało być Polską specjalnością.

Żeby lepiej zrozumieć sens wracania do najciemniejszych godzin musimy pamiętać czego właściwie szukamy. A szukamy racji istnienia własnej formy życia. Klęska to moment kiedy pokusa porzucenia tożsamości jest zarazem najbardziej pociągająca i najlepiej uargumentowana. Dlatego właśnie tam trzeba szukać najmocniejszych racji. Kogo jak nie tych, co przegrali bitwę pytać dlaczego się nie poddali – dlaczego wbrew wszystkiemu uznali, że trwanie ma sens? Zwycięzcy rzadko zaprzatają sobie tym głowy. Przegrani owszem.

Stąd jak sądzę Dunkierka, stąd Churchill, który jest nie tylko – co potwierdzają rozmaite plebiscyty – jedną z najpopularniejszych postaci angielskiej historii, ale kimś kto angielską tożsamość po prostu uosabia. A Churchill w 1940, to wymarzony adresat pytania o kwestie, które nurtują po-brexitową Anglię. Dlaczego mimo klęski i wielkich

kosztów nadchodzącej wojny zarówno on jak i ci, których reprezentował, uznali, że lepiej walczyć o 100% zamiast układać się o 50%?

Dlaczego mimo klęski i wielkich kosztów nadchodzącej wojny zarówno Churchill jak i ci, których reprezentował, uznali, że lepiej walczyć o 100% zamiast układać się o 50%?

I może właśnie dlatego w dobie obecnego kryzysu to w jego stylu, w jego błyskotliwości, bezczelności, inteligencji, dziwactwach, odwadze, w jego cynizmie,

bezwzględności i żarliwym patriotyzmie przegląda się dzisiejsza Anglia. Dlatego właśnie przegląda się w zainscenizowanym na trzech aktorów dylemacie: czy walczyć ryzykując wiele czy wybrać drogę ustępstw i negocjacji? Przegląda się i pyta: „Czy jeszcze tacy jesteśmy? Czy tacy chcemy być? Czy warto było wyrzucić stolik i odejść?” I trzeba powiedzieć, że odpowiedź jakiej udzielają ci, którzy po mowie premiera biją brawo raczej nie podoba się w redakcji *Guardiana* (która Churchilla woli pamiętać jako entuzjastę zjednoczenia Europy).

Na koniec dwa zastrzeżenia. Po pierwsze z pewnością nie wszyscy widzowie uczestniczą w owacji. Jednego dnia trochę więcej, innego trochę mniej niż połowa. Po drugie, historycznych analogii nie należy brać zbyt dosłownie. Zwłaszcza gdy mowa o filmach nie o grubo ciosanej publicystyce. Podbita przez Hitlera Europa nie jest Unią Europejską, lord Halifax eurokratą, a Chamberlain prototypem naiwnego euroentuzjasty. Nie chodzi o prostą dosłowność, ale o

analogię – o podobieństwa dylematów, emocji, pytań, problemów, wątpliwości. Dlatego kiedy filmowy Churchill powiada, że Anglicy nigdy nie zgodzą się, żeby nad Londynem powiewały obce flagi, to nie chodzi przecież o błękitną flagę Unii Europejskiej. Nie chodzi!

A zarazem jednak chodzi! I kto tego nie rozumie ten trąba.

Felieton ukazał się w tygodniku „Sieci” nr 8/2018